

**JACK REACHER**

**NOWOŚĆ  
2024**

**LEE  
CHILD**

**ANDREW CHILD**

**SEKRET**



**ALBATROS**

Tytuł oryginału:  
THE SECRET

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2023  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki oryginalnej Richard Ogle/TW

Zdjęcia na okładce: Reynolds/Bloomberg via Getty Images (*Pentagon*);  
Saqib Majeed/SOPA Images/LightRocket via Getty Images (*niebo*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# 1

Keith Bridgeman zamknął oczy. Był sam. Poranny obchód już się skończył. Lunch podano i zjedzono, naczynia uprzątnięto. Ucichły kroki odwiedzających, którzy dreptali po korytarzu w poszukiwaniu krewnych i przyjaciół. Salowa zamiotła podłogę, przetarła ją mopem i wyniosła śmieci. I w końcu na oddział spłynęło trochę spokoju.

Bridgeman leżał w szpitalu od miesiąca. Wystarczająco długo, żeby przywyknąć do obowiązującego tu rytmu i porządku. Wiedział, że nadeszła pora na popołudniową ciszę. Na przerwę, podczas której nie będą go dźgali, poszturchiwali, kazali mu wstawać, chodzić i rozciągać się. Nikt nie będzie zwracał mu głowy przez trzy godziny. Co najmniej. Mógł teraz czytać. Oglądać telewizję. Słuchać muzyki. Gapić się przez okno na skrawek jeziora widoczny między dwoma pobliskimi drapaczami chmur.

Albo się zdrzemnąć.

Miał sześćdziesiąt dwa lata. I był w kiepskim stanie. Nie ulegało wątpliwości, że w kiepskim. Mógł zastanawiać się

nad przyczyną – praca, której poświęcił życie, stres, który musiał znosić, papierosy, które wypalił, alkohol, który wypił – lecz nie mógł zaprzeczyć, że skutek jest oczywisty. Zawał serca tak rozległy, że nie dawano mu szans na przeżycie.

Walka z tak wielkimi przeciwnościami losu jest męcząca. Wybrał więc drzemkę.

Ostatnio zawsze wybierał drzemkę.

• • •

Obudził się po godzinie. Nie był już sam. W pokoju ktoś był. Dwie kobiety. Obie pod trzydziestkę. Obie szczupłe. Tego samego wzrostu. Jedna stała po lewej stronie łóżka, bliżej drzwi. Druga naprzeciwko niej, po prawej, przy oknie. Stały w kompletnym bezruchu. I patrzyły na niego w milczeniu. Miały ściągnięte do tyłu włosy, krótkie, gładkie i ciemne. Twarze pozbawione wyrazu jak manekiny. W ostrym sztucznym świetle ich skóra błyszczała, jakby była z plastiku.

Miały na sobie szpitalne uniformy i białe fartuchy właściwej długości. Z kieszeniami, naszywkami i plakietkami. Uniformy miały właściwy odcień niebieskiego. Ale kobiety nie były lekarkami. Bridgeman dawał za to głowę. Podpowiadał mu to szósty zmysł. Który mówił, że nie powinno ich tu być. Że wróżą kłopoty. Przyjrzał się najpierw jednej, potem drugiej. Miały puste ręce. Na ich ubraniach nie zauważył żadnych podejrzanych wybrzuszeń. Ani śladu pistoletu czy noża. Ani śladu narzędzi medycznych, których

mogłyby użyć jako broni. Ale to go nie uspokoiło. Był w niebezpieczeństwie. Wiedział o tym. Czuł to, jak gazela czuje, że dwie lwice chcą wciągnąć ją w zasadzkę.

Zerknął na lewą nogę. Przycisk alarmowy leżał tam, gdzie zostawiła go pielęgniarka, na prześcieradle między udem i poręczą łóżka. Wyciągnął rękę. Płynnym ruchem. Zwinnym. Szybkim. Ale kobieta była szybsza. Chwyliła przycisk i upuściła go, tak że zadyndał na przewodzie tuż nad podłogą, poza zasięgiem jego rąk.

Serce Bridgema zadrżało w piersi i zatrzepotało. Usłyszał elektroniczne popiskiwanie. Dochodziło z urządzenia stojącego u wezglowia łóżka. Na środku górnej połowy ekranu wyświetlały się cyfry, a całą szerokość dolnej przecinały dwie wystrzępione linie. Pierwsza pokazywała jego puls. Który to gwałtownie rósł, to opadał. Szczyty i dolki na wykresie były coraz ciaśniejsze, jakby się wzajemnie ścigały. Cyfry pokazywały tętno. Które rosło. Szybko. Popiskiwanie stało się głośniejsze. Częstsze. A potem przeszło w pisk. Ciągły. Natarczywy. Niemożliwy do zignorowania. Liczba przestała rosnać. Zaczęła migotać, a po chwili opadać. I opadała, aż dotarła do zera. Linie się wyprostowały. Najpierw po lewej stronie ekranu, potem całe i w końcu stały się idealnie równoległe. Ekran znieruchomiał. Zamarł. Słychać było jedynie rozpaczliwe elektroniczne wycie.

Wskazujące na to, że doszło do całkowitego ustania akcji serca.

Ale trwało to tylko chwilę.

Kiedy włączył się alarm, druga kobieta chwyciła

Bridgema na za prawy nadgarstek. Zerwała niebieski klips z palca wskazującego i włożyła go na swój. Ekran mrugnął raz i drugi, po czym wycie ustało. Tętno zaczęło rosnać. Linie stawały się od lewej do prawej coraz grubsze. Żaden z parametrów nie pasował idealnie do tych Bridgema na. Kobieta była młodsza. Bardziej wysportowana. Zdrowsza. Spokojniejsza. Lecz te wartości nie różniły się aż tak bardzo. Nie były za wysokie. Ani za niskie. Dlatego nie wywołały kolejnego alarmu.

Bridgema na chwycił się obiema rękami za pierś. Na czoło i głowę wystąpiły mu krople potu. Miał lepka skórę. Z trudem oddychał.

Kobieta z klipsem na palcu usiadła na krześle przy oknie. Druga odczekała chwilę, a potem spojrzała na niego i powiedziała:

– Przepraszamy. Nie chciałyśmy pana przestraszyć. Nie zrobimy panu krzywdy. Chcemy tylko porozmawiać.

Bridgema na milczał.

– Mamy dwa pytania – ciągnęła kobieta. – To wszystko. Odpowie pan szczerze i już nigdy nas pan nie zobaczy. Obiecuję.

Wciąż milczał. Zerknął w stronę drzwi.

Kobieta zauważyła to i pokręciła głową.

– Jeśli myśli pan, że ktoś przybędzie z odsieczą, to ma pan pecha. Te klipsy często zsuwają się z palców. I co robią wtedy pacjenci? Nakładają je z powrotem. Pielęgniarka dyżurna, która usłyszała alarm, pomyślała na pewno, że tak było i teraz. No więc? Pierwsze pytanie, zgoda?

Bridgemanowi zaschło w ustach. Z trudem zwilżył wargi i wziął głęboki oddech. Ale nie po to, żeby odpowiedzieć. Po to, żeby wezwać pomoc w tradycyjny sposób.

Kobieta przejrzała jego zamiary, przytknęła palec do ust, wyjęła coś z kieszeni – zdjęcie – i mu pokazała. Przedstawiła rękę w rękawiczce trzymającą egzemplarz „Tribune” na tle okna. Bridgeman odczytał datę. Wtorek, siódmy kwietnia 1992 roku. To była dzisiejsza gazeta. A potem za szybą okna zobaczył dwie postacie. Kobieta i dziecko. Małą dziewczynkę. Mimo że stały plecami do aparatu, nie miał wątpliwości, kto to jest. Ani gdzie zrobiono zdjęcie. To były jego córka i wnuczka. W domu w Evanston, który kupił im po śmierci żony.

Kobieta wzięła go za rękę i sprawdziła puls. Był słaby i szybki.

– No już. Proszę się uspokoić. I pomyśleć o rodzinie. Nie chcemy zrobić im krzywdy. Ani im, ani panu. Po prostu musi pan zrozumieć, jak poważna jest sytuacja. Mamy tylko dwa pytania, ale oba są ważne. Im szybciej pan na nie odpowie, tym szybciej stąd wyjdziemy. Gotowy?

Bridgeman skinął głową i opadł na poduszkę.

– Pytanie pierwsze. Pojutrze ma pan się spotkać z pewną dziennikarką. Jakie informacje zamierza pan jej przekazać?

– Skąd pani wie, że...

– Nie traćmy czasu. Proszę odpowiedzieć.

– Dobrze. Posłuchajcie. Nie zamierzam nic jej przekazywać. Mamy tylko porozmawiać.

– Żaden wiarygodny dziennikarz nie uwierzy

sygnaliście, który nie ma twardego dowodu. Gdzie ten dowód jest?

– Sygnaliście? Nie, to nie tak. Ona jest reporterką z jakiegoś małego brukowca w Akron w Ohio. Tam się urodziłem. Chce napisać o moim ataku serca. O tym, że wyzdrowiałem. Według lekarzy to prawdziwy cud. Miejscowi chcą o tym poczytać. Podobno jestem dla nich inspiracją.

– Atak serca? Z tym pan do niej idzie? Mając w ręku taką sensację?

– Jaką sensację?

Kobieta nachyliła się ku niemu.

– Keith, my wiemy, co pan zrobił. Co wszyscy zrobiliście. Dwadzieścia trzy lata temu. W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego.

– W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego? Skąd pani... Kim wy jesteście?

– Dojdziemy do tego. Teraz musi pan nam powiedzieć, jakie informacje chce pan przekazać reporterce.

– Nie chcę przekazywać żadnych informacji. Mam jej opowiedzieć o mojej rekonwalescencji, to wszystko. A o grudniu sześćdziesiątego dziewiątego nigdy nie będę rozmawiał. O tym, co tam robiliśmy. Co się tam stało. Z nikim. Przysiągłem, że nie będę, i dotrzymam słowa. Nawet moja żona nic nie wiedziała.

– Więc nie ukrył pan w tym pokoju żadnych dokumentów czy notatek?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko temu,



jeśli się tu rozejrzemy?

Kobieta nie czekała na odpowiedź. Zaczęła od szafki nocnej. Otworzyła ją i poszperała wśród książek, czasopism i zapasowych piżam. Potem otworzyła skórzaną torbę stojącą przy drzwiach. Był w niej komplet ubrań. Nic więcej. Następnie sprawdziła łazienkę. Tam też nie znalazła nic godnego uwagi. Wyszła więc na środek pokoju i wzięła się pod boki.

– Pozostało tylko jedno miejsce. Łóżko.

Bridgeman nie poruszył się.

– Niech pan to zrobi dla córki. I wnuczki. No już. To potrwa tylko chwilę.

Poczuł, że znowu przyspiesza mu puls. Zamknął oczy. Wziął oddech. Spróbował się odprężyć. Potem odrzucił koc, spuścił nogi i wstał. Spojrzał na kobietę siedzącą na krześle.

– Mogę przynajmniej usiąść? Jestem starszy od was. Stoję jedną nogą w grobie.

Kobieta podniosła palec z klipsem.

– Przykro mi. Nie mogę wstać, za krótki kabel. Niech pan usiądzie na parapecie.

Bridgeman spojrział na okno. Zastanawiał się, czy jej posłuchać. Ale ponieważ miał dość wysłuchiwania rozkazów, tylko oparł się o parapet. I patrzył, jak koleżanka tej z klipsem przeszukuje łóżko. Tam też nic nie znalazła.

– Teraz mi wierzycie? – spytał.

Kobieta wyjęła z kieszeni kartkę papieru. Z listą nazwisk. Sześciu, napisanych rozchwianymi, kanciastymi literami.

Było wśród nich i jego nazwisko. Znał pięć pozostałych. Varinder Singh. Geoffrey Brown. Michael Rymer. Charlie Adam. Neville Pritchard. A pod ostatnim zawijas z kropką na dole. Znak zapytania.

– Jednego brakuje – powiedziała kobieta. – Czyjego?

Serce Bridgemaana już nie kołatało. Miał wrażenie, że jest teraz pełne szlamu. I nie ma siły tłoczyć krwi do tętnic. Nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Odpowiadając, złamałby przyrzeczenie. Przysiągł, że nigdy nie zdradzi żadnego szczegółu. Wszyscy przysięgli, dwadzieścia trzy lata temu, gdy stało się oczywiste, co zrobili. A brakujące nazwisko należało do najbardziej narwanego z nich. Nikt nie powinien go nigdy poznać, tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Kobieta podała mu kolejne zdjęcie. To też przedstawiało jego córkę i wnuczkę, tym razem na przejściu dla pieszych. Dokądś szły. Zrobiono je przez przednią szybę samochodu.

Bridgeman próbował oddychać, poświęcając temu wszystkie siły. Te kobiety chciały tylko jednego nazwiska. Czy stałoby się coś złego, gdyby je podał? Stałoby się, dobrze o tym wiedział.

– Pytanie dodatkowe – rzuciła kobieta. – Co będzie jutro? Albo pojutrze? Kierowca był pijany? Zawiodły hamulce?

– Buck – wyszeptał. – Tak brzmi to brakujące nazwisko. Owen Buck.

Pokręciła głową.

– Buck nie żyje. Zmarł na raka miesiąc temu. Zaraz po tym, jak zrobił tę listę. A więc nie, to nie on. Powiedział,

że jest jeszcze ktoś ósmy. Nie znał jego nazwiska. Ale był pewien, że zna je któryś z was.

Bridgeman milczał. Próbował doszukać się w tej informacji jakiegoś sensu. Buck musiał przegrać walkę z sumieniem. Ciągle mamrotał, że zrobi coś głupiego. Co nie tłumaczyło jednak tego, że zdradził komuś istnienie jeszcze jednego nazwiska. Może postradał zmysły. Może lekarstwa, które brał na raka, wyżyły mu mózg.

– A jeśli coś odwróci uwagę kierowcy? – ciągnęła kobieta. – Albo zaśnie za kierownicą?

– Może i jest ktoś jeszcze. – Bridgeman zamknął oczy. – Może ktoś wie, kto to jest. Któryś z pozostałych. Ale nie ja. Według mnie nikogo takiego nie ma.

– Może z wnuczki coś by zostało i mógłby pan ją pochować – dodała kobieta. – A może nie.

Bridgemanowi brakowało tchu.

– Przestańcie. Proszę. Nic więcej nie wiem. Przysięgam. Podałem wam nazwisko Bucka. Nie wiedziałem, że nie żyje. Jestem chory. Leżę tu od miesiąca. Nikt mi nic nie powiedział. Gdybym znał inne nazwiska, podałbym je wam. Ale nie znam. Więc nie mogę.

– Może pan. Nie musi pan wypowiadać go na głos. Może pan zrobić to, co zrobił Owen Buck. Może pan je napisać. Buck podał sześć. Pan musi dodać tylko jedno. – Wyjęła długopis z kieszeni fartucha.

Patrzył przez chwilę na jej rękę. Potem wziął długopis i na górze listy dopisał *Owen Buck*.

– To jedyne, które znam – powiedział. – Przysięgam.

– Keith, czy kiedykolwiek widział pan trumnę dziecka? Bo jeśli nie, gwarantuję, że nie będzie pan przygotowany na jej widok, na to, jaka wyda się panu malutka. Zwłaszcza w porównaniu z trumną dorosłego człowieka, w której będzie leżała pana córka.

Zatrząsły mu się kolana. Wyglądał tak, jakby miał zaraz upaść.

– No już. – Głos kobiety nieco złagodniał. – Jedno nazwisko. I dwa uratowane życia. Na co pan czeka?

Bridgeman poczuł, że ciało mu wiotczeje.

– Buckowi coś się pomyliło. Nie ma ósmego. Przynajmniej ja go nie znam. Byłem tam trzy lata. I nigdy nie słyszałem, żeby wciągnięto do zespołu kogoś nowego.

Kobieta patrzyła na niego dziesięć długich sekund, w końcu wzruszyła ramionami. Zabrała długopis i kartkę i schowała do kieszeni.

– W takim razie nic tu po nas. – Dotknęła jego czoła. – Zaraz. Źle się pan czuje. Otworzę okno. Świeże powietrze postawi pana na nogi. Nie chcę tak pana zostawiać.

– Nic z tego – rzucił. – W tym szpitalu okna się nie otwierają.

– To się otwiera.

Kobieta pochyliła się, nacisnęła klamkę i okno otworzyło się na zewnątrz szerokim łukiem. Potem włożyła rękę pod kołnierz uniformy i zdjęła z szyi drobny łańcuszek. Na jego końcu wisiał klucz do okiennego zamka.

– Proszę. – Odchyliła górną kieszeń jego piżamy i wrzuciła go do niej wraz z łańcuszkiem. – Prezent. Na pamiątkę

naszego spotkania, bo już nigdy nas pan nie zobaczy. Tak jak obiecałam. Jeszcze jedno i wychodzimy. Pytał pan, kim jesteśmy. – Wyprostowała się. – Nazywam się Roberta Sanson.

Z krzesła wstała ta z klipsem na palcu.

– A ja Veronica Sanson. Jestem jej siostrą. Naszym ojcem był Morgan Sanson. Chcemy, żeby pan o tym wiedział, to ważne.

Morgan Sanson. Echo z przeszłości. Echo niechciane. Cztery sylaby, których miał nadzieję już nigdy nie usłyszeć. Ich znaczenie dotarło do niego po ułamku sekundy i odepchnął się od ściany. Próbował ominąć Robertę, lecz nie miał na to żadnych szans. Był zbyt słaby. Miał na to za mało miejsca. A siostry były zmotywowane. Roberta zrobiła krok w lewo i zastąpiła mu drogę. Chwyciła go za ramiona, pchnęła, a gdy znowu oparł się o parapet, sprawdziła, czy stoi dokładnie na wprost otwartego okna. Veronica pochyliła się i ujęła go za nogi tuż nad kostkami. Gdy wyprostowała się, jej siostra znów mocno pchnęła Bridgema. Zaczął wierzgać nogami, szarpać się i wyginać. Popchnęły go jeszcze raz. A potem jeszcze dwa razy, na wszelki wypadek. Resztę zrobiła grawitacja.

## 2

Jack Reacher nigdy dotąd nie był w arsenale na Rock Island, ale był już drugim śledczym, którego wysłano tam w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pierwszą kontrolę przeprowadzono po doniesieniu o kradzieży karabinów M16, które okazało się fałszywe. Ponieważ Reacher dołączył do jednostki jako ostatni, po degradacji z majora na kapitana, przydzielono mu sprawę mniej ciekawą. Nielegalne przerabianie i podrabianie sprzętu wojskowego.

Sierżant, który złożył zawiadomienie, czekał na niego przed głównym wejściem. Wiekowo dzieliło ich może dziesięć lat. Byli mniej więcej tego samego wzrostu – metr dziewięćdziesiąt z hakiem – ale podczas gdy Reacher był ciężki i zwalisty, starszy od niego sierżant, blady, chudy jak szczapa i wymizerowany, miał drobne, delikatne rysy twarzy i ważył jakieś osiemdziesiąt kilogramów. Ponad dwadzieścia siedem kilogramów mniej. Mundur trochę zwisał mu z ramion i Reacher zaniepokoił się lekko stanem jego zdrowia.

Po wymianie zwykłych uprzejmości poszli na strzelnicę E mieszczącą się na zachodnim krańcu bazy. Gdy weszli do środka, sierżant zamknął ciężkie stalowe drzwi i ruszył w stronę stołu przy tylnej ścianie, służącego do rozkładania broni. Kolbami do nich, ze skierowanymi w prawo uchwytami, równiutkim szeregiem leżało tam sześć emszesnastek. Nie były nowe – nie ulegało wątpliwości, że spędziły w terenie dużo czasu – ale dobrze utrzymane. Niedawno czyszczone. Zadbane i nieuszkodzone. Reacher nie dostrzegł w nich niczego niepokojącego.

Podniósł drugą z lewej. Sprawdził, czy komora nabojo-  
wa jest pusta i nie ma defektów, wpiął magazynek i stanął na linii otwarcia ognia. Przełączył bezpiecznik na tryb ognia pojedynczego. Nabrał powietrza. Wstrzymał oddech. I między dwoma uderzeniami serca pociągnął za spust. W czerwonej gwiazdce na hełmie figury bojowej stojącej sto metrów dalej powstała dziura.

Opuścił karabin i zerknął na sierżanta. Twarz żołnierza niczego nie zdradzała. Ani zaskoczenia. Ani zawodu.

Reacher oddał jeszcze pięć strzałów. Szybko, jeden po drugim. Zadudniło echo. Na cementowej podłodze zagrzęchotały łuski. Na piersi figury bojowej wykwitła zgrabna litera T. Podręcznikowe strzelanie. Karabinowi nic nie dolegało. Mimo to sierżant wciąż nie reagował.

- Ile było? – spytał Reacher, wskazując magazynek.
- Szesnaście.
- Wietnam?
- Trzy tury. Żadnych zacięć. Jeśli nie jest zepsuty...

Reacher przesunął skrzydełko bezpiecznika na najniższą pozycję. Na ogień ciągły; to był stary model emszesnastki, bez mechanizmu spustowego umożliwiającego strzelanie tylko seriami trzystrzałowymi. Wycelował w środek figury i zwiększył nacisk na spust. Zielone plastikowe popiersie powinno pójść w drzazgi. Pozostałych dziesięć kul powinno poszatkować je w niecałą sekundę. Ale nic takiego się nie stało. Bo spust nie drgnął. Reacher przeszedł na tryb ognia pojedynczego i wycelował w twarz figury. Pod wpływem uderzenia kuli koślawy zarys nosa rozpadł się na pół. Reacher znów przełączył broń na ogień ciągły. I znowu nic się nie stało. Sprawa była więc oczywista. Spust nie chciał zmienić położenia.

– Wszystkie takie są?

Sierżant kiwnął głową.

– Wszystkie. Cała skrzynka.

Reacher podszedł do stołu i odłożył broń. Wypiął magazynek, opróżnił komorę nabożową, wyjął trzpienie blokady, zdjął dolną komorę zamkową i obejrzał od środka. Potem pokazał ją sierżantowi.

– Przełącznik ognia ciągłego tu nie wejdzie. Gniazdo jest za małe. A w spuście są tylko dwa otwory. Powinny być trzy.

– Zgadza się – potwierdził żołnierz.

– To nie jest karabin wojskowy. Ktoś przerobił go na wersję cywilną. Teraz jest tylko samopowtarzalny.

– Nie widzę innego wytłumaczenia.

– Skąd się tu wzięły?



Sierżant wzruszył ramionami.

– Pomyłka administracyjna. Miały zostać zezłomowane, ale ktoś pomylił skrzynki i dwie trafiły tutaj.

Reacher spojrzał na karabiny.

– Więc nie nadają się już do użytku?

Sierżant znów wzruszył ramionami.

– Tego bym nie powiedział. Według mnie ich stan kwalifikuje je do kategorii broni rezerwowej. Kiedy otworzyliśmy skrzynki, wszystko wyglądało normalnie. Ale potem zgłoszono usterkę. Wtedy rozłożyłem pierwszy karabin. I od razu zobaczyłem, w czym problem. Tak jak pan.

– Kto decyduje o tym, że broń ma zostać zezłomowana?

– Przeznaczony do tego zespół. Są specjalne procedury. Tymczasowe. Obowiązują dopiero od roku. Wprowadzono je po Pustynnej Burzy. Wojna to dla wojska dobra okazja do wymiany sprzętu. Zdemobilizowany wraca do kraju i trafia tu do oceny. My odpowiadamy za broń palną. Sprawdzamy ją, testujemy i nadajemy jej kategorię. Zieloną: broń w pełni sprawna, którą należy zatrzymać. Bursztynową: broń częściowo sprawna, przeznaczona na sprzedaż albo dla cywilnych programów bezpiecznego użytkowania broni palnej, oczywiście z wyłączeniem automatycznej. I czerwoną: broń niesprawna, przeznaczona do kasacji.

– Dostaliście skrzynkę z czerwoną, choć powinniście dostać z zieloną?

– Właśnie.

Reacher zmarszczył czoło. Całkiem przekonujące wyjaśnienie. Nie było sprzętu, którego raz na jakiś czas wojsko

nie wysłałoby pod zły adres. Pomyłkowo, bez złych zamiarów. Tak jak powiedział sierżant, na skutek pomyłki administracyjnej. Ale Reacher zastanawiał się, czy nie ma to szerszego kontekstu. I nie łączy się z raportem o kradzieży emszesnastek. Ktoś mógłby zakwalifikować sprawną broń jako nienadającą się do użycia, napełnić skrzynki byle jakim złomem odpowiedniej wagi, wysłać je do zgniatarki albo do pieca i sprzedać karabiny na czarnym rynku. Broń przestałaby oficjalnie istnieć, więc nikt by jej nie szukał. Sposób dobry i wykonalny. Luka, którą trzeba by zlikwidować. Ale tutaj doszło do czegoś innego. Czytał raport. Kontrola była niezapowiedziana. Przeprowadzona o świcie, z pełnego zaskoczenia. I dokładna. Otworzono wszystkie skrzynki w całej bazie. Wszystkie egzemplarze miały właściwy numer seryjny. Nie brakowało nawet scyzoryka.

Scyzoryka... kompletnego.

– Kiedy je tu dostarczono? – spytał.

Sierżant odwrócił wzrok i policzył.

– Piętnaście dni temu. I wiem, o co mnie pan zaraz spyta. Ale odpowiedź się panu nie spodoba.

– O co spytam?

– Skąd wiem, który oddział używał tej broni w Zatoce. Zanim ją tu przysłano.

– Niby po co mi ta wiedza?

– Żeby mógł pan sprawdzić, kto kradnie dolne komory zamkowe. Bo ktoś je kradnie, tak? I sprzedaje. Żeby gangsterzy mogli przerobić swoje aerpiętnastki na w pełni automatyczne. Zatoka to idealne miejsce na zamianę części.

Oficjalnie nawet spinacz do papieru jest zarejestrowany. Ale w rzeczywistości? Każda jednostka ma inny system. Kilka się skomputeryzowało. Większość jednak wciąż używa papieru. A papiery się gubią. Drą się. Ulegają zalaniu. Cyfry się przestawiają. Ludzie piszą tak, że nie sposób ich odczytać. Krótko mówiąc, prędzej udałoby się panu sprzedać bikini na zjeździe mormonów, niż wyśledzić tę skrzynkę.

– Uważa pan, że nie mam przyszłości jako sprzedawca kostiumów kąpielowych?

Sierżant zamrugał.

– Słucham?

– Nieważne. Nie interesuje mnie, kto miał te karabiny w Zatoce. Bo to nie tam skradziono części.

• • •

Roberta i Veronica Sanson usłyszały odgłos uderzenia. Pierwsze przeraźliwe krzyki zagłuszyły na chwilę warkotliwy szum ruchu ulicznego. A potem kardiomonitor stojący u wezłowania łóżka znowu zaczął wyc. Linie ponownie się wyprostowały. Tętno spadło do zera. Całkowity brak aktywności serca. Ale tym razem urządzenie się nie myliło. Przynajmniej co do Keitha Bridgema.

Na korytarzu Roberta skręciła w lewo i skierowała się do wind w głównym holu. Veronica skręciła w prawo i zeszła na dół schodami pożarowymi. Siostra dotarła na parter przed nią. Przecięła recepcję i minawszy kawiarnię i sklep z balonami i kwiatami, głównym wejściem wyszła

ze szpitala. Skręciła na zachód i przecnicę dalej weszła do budki telefonicznej. Włożyła lateksowe rękawiczki, zadzwoniła do American Airlines i poprosiła o informację na temat rozkładu lotów. Następnie zadzwoniła do United Airlines. I do TWA. Rozważyła dostępne opcje. Potem wrzuciła rękawiczki do kosza na śmieci i poszła na publiczny parking ulicę dalej.

• • •

Poszli do magazynu przylegającego do boku dużego, przysadzistego budynku stojącego prawie na środku bazy. Kiedy byli na strzelnicy, wzmógł się wiatr, dlatego sierżant z trudem otworzył metalowe drzwi, a kiedy Reacher wszedł do środka, długo z nimi walczył, cudem utrzymując się na nogach. W końcu je zamknął i przekręcił klucz w zamku. Magazyn miał kształt kwadratu o boku długości pięć i pół metra. Podłoga była betonowa. Sufit też. Podtrzymywały go metalowe dźwigary pokryte jakimś gruzełkowatym materiałem ognioodpornym. Z boku biegł rząd świetlówek w drucianych osłonach. Przy drzwiach wisiał telefon, a pod ścianami stały regały. Pomalowane na szaro, z wytrzymałej stali. Do każdego była przymocowana tabliczka z naniesionym szablonem napisem – *Do oceny, Zielone, Bursztynowe, Czerwone* – a do prawych słupków regałów podkładki z plikiem papierów. Nie było okien i w powietrzu unosił się ciężki zapach oliwy i rozpuszczalnika.

Na półkach stały skrzynki. Z bronią krótką na górze i długą na dole. Czerwonych było czternaście. Reacher zdjął

jedną z najwyższej półki, postawił ją na podłodze i otworzył. Wyjął emszesnastkę. Była w dużo gorszym stanie niż ta, z której przed chwilą strzelał. To na pewno. Rozebrał ją szybko, sprawdził dolną komorę zamkową i pokręcił głową.

– Oryginalna.

Sierżant otworzył następną skrzynkę i obejrzał jeden z karabinów. Też mocno porysowany i podrapany.

– Ta też – rzucił.

Każda skrzynka miała z boku numer. Reacher zdjął z haczyka podkładkę i przewrócił kartki. Z ostatniej wynikało, że karabiny ze skrzynki, którą otworzył, zostały wyrejestrowane przez kogoś o inicjałach UE. Te ze skrzynki sierżanta zatwierdził do kasacji DS. Na liście widniały jeszcze jedne inicjały: LH. Reacher znalazł na półce skrzynkę z odpowiednim numerem, rozłożył jeden z karabinów, zdjął dolną komorę zamkową i pokazał ją sierżantowi.

– Bingo – powiedział żołnierz.

– Wyrejestrował go LH. Kto to jest?

– Sierżant Hall. Kieruje zespołem inspekcyjnym.

– To kobieta.

– Tak. Sierżant Lisa Hall. Skąd pan...

– UE i DS to mężczyźni?

– Tak. Ale skąd...

– W zespole inspekcyjnym są jeszcze inne kobiety?

– Nie, ale...

Reacher podniósł rękę.

– Piętnaście dni temu dostaliście przez pomyłkę

czerwoną skrzynkę. Czternaście dni temu wpłynęło do nas doniesienie o kradzieży emszesnastek. Sprawdziliśmy to. Do żadnej kradzieży nie doszło.

- Tak, słyszałem o tym nalocie. Ale nie widzę związku.
- Doniesienie było anonimowe, ale dzwoniła kobieta.

Czytałem raport.

- Wciąż nie rozumiem...
- Sierżant Hall zdała sobie sprawę, że brakuje czerwonej skrzynki, dzień po tym, jak karabiny tu trafiły. Obawiała się, że mogą postawić jej zarzuty, więc złożyła fałszywe doniesienie. Bardzo poważne. Kradzież broni. Wiedziała, że natychmiast przyjadą tu śledczy. Oczywiście przyjechali i otworzyli wszystkie skrzynki, łącznie z tymi, za które odpowiadała. Szukali emszesnastek. Kompletnych. I je znaleźli, więc zamknęli sprawę. Nie wykryli żadnego przestępstwa. A gdyby wyszło na jaw, że w karabinkach podmieniono dolne komory zamkowe, Lisę Hall oczyszczono by z zarzutu kradzieży. Liczyła na to, że śledczy wyciągną taki sam wniosek jak pan. Że broń przyjechała w takim stanie z Zatoki.

- Nie. Znam ją. Nie zrobiłaby czegoś takiego.
- Upewnijmy się. Gdzie dzisiaj jest?
- Nie wiem.
- To niech pan się dowie.
- Tak jest.

Sierżant podszedł do telefonu. Jego stopy wzbijały w powietrze obłoczki kurzu. Powoli wybrał numer, zamienił z kimś kilka słów, odłożył słuchawkę i zameldował:

- Hall nie ma dzisiaj służby, panie kapitanie
- Dobrze. A gdzie kwateruje?

• • •

Veronica Sanson czekała na siostrę na trzecim piętrze parkingu. Obok niebieskiego vana. Przed dwoma dniami, zaraz po przyjeździe do miasta, ukradły go z parkingu długoterminowego na lotnisku O'Hare. Roberta skinęła jej głową i otworzyła tylne drzwi samochodu. Przebrały się w kucki między siedzeniami z tyłu, na zmianę pilnując, czy nikt nie nadchodzi. Zdjęły szpitalne uniformy i fartuchy. Włożyły džinsy, adidas, bluzki i kurtki. Rzeczy proste i anonimowe. Potem objęły się na pożegnanie, z wąskiego bagażnika wyjęły płócienne torby, przetarły kabinę i drzwi, żeby usunąć odciski palców, po czym skierowały się do różnych wyjść. Roberta skręciła na zachód. Przebijała się przez tłumy turystów i kupujących, mijała wystawy sklepowe, kawiarnie i biura, w końcu dotarła do stacji metra Clark/Lake. Veronica poszła na południe, w kierunku stacji Roosevelta, gdzie spod ziemi wybiegała na powierzchnię pomarańczowa linia L.

• • •

Sierżant z arsenału na Rock Island podobał się Reacherowi. Był dość bystry. Otrzaskany. Rozgarnięty na tyle, by wiedzieć, w jakie kłopoty wpadnie, jeśli Hall zwierzy, że ją podejrzewają. Ale Reacher był człowiekiem ostrożnym. Już dawno temu przekonał się, że niebezpiecznie jest kogoś

przeceniać. I że lojalność wobec kolegów z jednostki może być silniejsza niż respekt przed obcym. Zwłaszcza kiedy obcy jest żandarmem wojskowym. Dlatego upewnił się, czy sierżant wie, na jakie konsekwencje się narazi, jeśli ulegnie pokusie i zadzwoni do koleżanki. Nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. Potem wypożyczył samochód z parku motorowego bazy i pojechał do Hall.

Sierżant Hall mieszkała w ostatnim z kilku domów rozrzuconych nad rzeką sześć i pół kilometra od głównej bramy arsenału. Jej dom był mały i schludnie utrzymany. Zaprojektowany tak, żeby był funkcjonalny. Bez wyszukanych ozdóbek, o które trzeba by dbać. Bez konieczności skomplikowanych prac porządkowych na podwórzu. Reacher zapukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Przez okna z przodu i z tyłu nic nie zobaczył. Tylko komplet mebli dobranych tak, jakby ktoś chciał odtworzyć wnętrze z taniego katalogu. Bez żadnych osobistych akcentów. Bez zdjęć. Bibelotów. Bez drobiazgów, którymi ludzie narzucają wnętrzu swoją osobowość. Dobrze to rozumiał. Nie licząc czterech lat w West Point, spędził życie na ciągłej wędrówce między bazami. Pół roku tu. Pół roku tam. Różne kraje. Różne kontynenty. Nigdzie nie zostawał na tyle długo, żeby poczuć się jak w domu. Najpierw jako dzieciak, bo ojciec był oficerem piechoty morskiej. Potem jako dorosły i też oficer. Może Hall miała podobne doświadczenia. Może spodziewała się kolejnej zmiany przydziału i nie chciała marnować sił na urządzenie domu, który i tak miała wkrótce opuścić. Ale mogła też mieć inny powód, żeby w razie



czego móc wyjechać w pośpiechu.

Wrócił do samochodu, żeby zaczekać. Mógł czekać długo, zupełnie go to nie martwiło. Był cierpliwy. Nigdzie mu się nie spieszyło. Natura stworzyła go do dwóch stanów istnienia. Do natychmiastowego, gwałtownego działania. I do stanu niemal katatonicznego. Kłopoty sprawiał mu jedynie stan pośredni. Wysiadywanie na bezsensownych zebraniach, naradach i odprawach, które pochłaniają tak dużo wojskowego życia.